



Władysław Reymont
(1867 — 1925)

Chłopi (1908)

Jesień

Cicho było, ciepło i nieco sennie.

Słońce, chociaż to był już koniec września, przygrzewało jeszcze niezgorzej — wisiało w połowie drogi między południem a zachodem, nad lasami, że już krze i kamionki, i grusze po polach, a nawet zeschłe twarde skiby kładły za się cienie mocne i chłodne.

Cisza była na polach opustoszałych i upajająca słodkość w powietrzu, przymglonym kurzawą słoneczną; na wysokim, bladym błękitcie leżały gdzieniegdzie bezładnie porozrzucane ogromne białe chmury niby zwały śniegów, nawiane przez wichry i postrzępione.

A pod nimi, jak okiem ogarnąć, leżały szare pola niby olbrzymia misa o modrych wrębach lasów — misa, przez którą, jak srebrne przedziwo rozbłysłe w słońcu, migotała się w skrętach rzeka spod olch i łożin nadbrzeżnych. Wzbierała w pośrodku wsi w ogromny podłużny staw i uciekała na północ wyrwą wśród pagórków; na dnie kotliny, dokoła stawu, leżała wieś i grała w słońcu jesiennymi barwami sadów — niby czerwono-żółta liszka, zwinięta na szarym liściu łopianu, od której do lasów wyciągało się długie, splecione nieco przedziwo zagonów, płachty pól szarych, sznury miedz pełnych kamionek i tarnin — tylko gdzieniegdzie w tej srebrnawej szarości rozlewały się strugi złota — łubiny żółciły się kwiatem pachnącym, to białały omdlałe, wyschłe łożyska strumieni albo leżały piaszczyste senne drogi i nad nimi rzędy potężnych topoli z wolna wspinały się na wzgórza i pochylały ku lasom.

Zima

A niebo poczęło się zaciągać coraz mroczniej; chmury wypełzały ze wszystkich jam, podnosiły potworne łby, przeciągały zgniecione kadłuby, rozwichrzały sine grzywy, zielonawymi kłami błyskały i szły całym stadem — groźną, ponurą i milczącą cizbą waliły się na niebo; szły od północy czarne, olbrzymie góry, postrzępione, podarte,

spiętrzone, rosochate, niby kupy borów podruzgotanych, przerwanych głębokimi przepaściami, zaspanych zielonymi ławicami lodów, a parły się naprzód z dziką mocą, z głuchym poszumem; od zachodu, zza borów czarnych, nieruchomych wysuwały się z wolna sine, obrzękłe zwały, prześwitujące gdzieś jakby ogniem, a szły jedna za drugą, rzędem nieskończonym, ciągiem coraz większym, jakoby te klucze ptaków wielgachnych; zaś od wschodu wywlekały się chmury płaskie, zrudziałe, przekrwione, przeropiałe, zgoła paskudne, kieby te ścierwa przegniłe i ociekające posoką; i od południa szły, ino że zwietrzałe, czerwonawe, podobne do bajorów i trzęsawisk torfowych, a pełne pręg i gruzłów sinych, pełne plam i rojowisk strasznych — jakby pełne tego gmerzącego robactwa; a jeszcze i z góry, jakby z wygasłego słońca, spadały kłakami brudnymi, to sypały się barwione jako te zużle stygnące — a wszystkie szły na siebie, stożyły się w góry przeogromne i zalały niebo czarnym, strasznym kipiátkiem błota i rumowisk...

Świat z nagłą poczerniał, cisza się uczyniła głucha, przygasły światłości, sine oczy wód pomdlały, wszystko jakby zdrętwiało i stanęło w zdumieniu z przytajonym tchem, lęk wionął po ziemi, mróz przenikał kości, strach chylił za gardziele, dusze padły w proch, lute przerażenie załopotowało nad wszelkim stworzeniem — widać było, jak zając gnał przez wieś z rozwianą szerścią, to wrony z krzykiem przejmującym wpadały do stodół albo i zgoła do sieni, psy wyły po przyzbach jak oszalałe, ludzie chyłkiem uciekali do chałup, a nad stawem biegała ślepa kobyła z resztką wozu, tłukła się o płoty, o drzewa i z dzikim kwikiem szukała stajni.

Ciemnica się rozlewała mętna, dusząca: chmury opadały coraz niżej, zwały się z lasów rozkotłowaną gęstwą tumanów i toczyły się po zagonach jak te wody wzburzone, rozhukane, straszne — uderzyły na wieś i zalały wszystko lodowatą, brudną mgłą; naraz niebo się przedarło na środku i zajaśniało modrawo niby lustro studienne, świst ostry przeszył ciemności, mgły się skłębily z nagłą, a z pękniętej czeluści lunął pierwszy wichur, a za nim już leciał drugi, dziesiąty, setny!

Wyły już stadami, lały się z tej gardzieli niby rzeki niczym nie powstrzymane, rwały się jakby z łańcuchów i rozskowyczoną, wściekłą zgrają były w chmury, rzucały się na ciemnice i rozwalały je do dna, przeżerały na wskroś i rozmiatały niby tę słomę strupieszalą.

Wrzask poszedł po świecie, zamęt, szumy, świsty, kurzawa.

Chmury, stratowane ostrymi kopytami wicherów, uciekały jakby chyłkiem na bory i lasy, niebo się przecierało, dzień znowu zaświecił ołowianymi oczami, stwór wszelki odetchnął z ulgą. [...]

Dopiero przed samą świętą Łucją przysła odmiana.

Mróz sfołzał i ociepliło się dziebko, wichry jakby zdychały, bo ino od czasu do czasu przedmuchiły świat, ale już miętsze i nie tak swarliwe, niebo zaś się wyrównało kieby to pole zbronowane, a pokryte wielgachną siwą, zgrzebną płachtą, a tak nisko się opuściło, iż jakby się na przydrożnych topolach wsparło. Ale posępnie było, szaro i głucho.

A skoro jeno przedzwonili na południe, zmrozczało się nieco i jął padać śnieg dużymi płatami, a sypał gęsty, bo wnet opierzył wszystkie drzewa i wyniosłości.

Noc się rychlej zrobiła, ale śnieg nie przestawał, sypał coraz gęściej, suchszy nieco a syпки, i tak już przez całą noc padał.

Na świtaniu było już śniegu na dobre trzy piędzie, do cna przyokrył kożuchem ziemię i przesłonił świat cały modrawą białnością, a leciał wciąż, bez przestanku.

Taka cichość padła na ziemię, że ani jeden powiew nie zadrgał, ani jeden dźwięk się nie przedzierał wskrós tych spływających puchów, nic, zamilkło wszystko, ogłuchło, oniemiało, jakby przed cudem stanęło i przychylone nieco zasłuchało się uroczyście w tym ledwie wyczutym szeleście, w tym locie cichym, w tej białości martwej, rozdrwanej i opadającej nieustannie.

Biaława cma się czyniła, rosła, stawała; białe, migotliwe, niepokalany brzask sypał się by ta wełna najbielsza, najmiększa, najśliczniejsza; sypał się gęstwą nieprzeliczoną by ta zamarzła poświata, jakoby wszystkie gwiazdne światłości zakrzepły w szron i starte lotem podniebnym na proch, świat zasypywały, przysłoniły się rychło bory, przepadły pola, że ani okiem uchwycił, zginęły drogi, roztopiła się wieś cała i wsiąknęła w tę białość cudną, w ten oślepiający tuman, a w końcu nie było już dla oczów nic widne, prócz tych strug śnieżystego pyłu, spływającego tak cicho, tak równo, tak słodko, kiej te wiśniowe okwiaty w noc miesięczną.

Na trzy kroki nie dostrzegł chałupy ni drzewa, ni płotu, ni czyjej postawy, ino głosy ludzkie latały w tej bieli, kiej osłabłe motyle, a mylnie, bo nie wiada skąd płynące, dokąd — a coraz słabiej się trzepotały, coraz ciszej...

I tak sypało dwa dni i dwie noce, że w końcu zasypało chałupy, iż się wznosiły jako te śniegowe kopice, buchające brudnymi kołtunami dymów, drogi się wyrównały z polami, sady były pełne po wręby płotów, staw całkiem zginął pod nawałą, biała równia, nieobjęta, chłodna, nieprzenikniona, puszysta i cudna pokryła ziemię, a śnieg wciąż padał, tylko że już coraz suchszy i rzadszy, to nocami przedzierały się gwiazdne migoty, a w dzień modrzało niebo gdzieniegdzie wskrós tych polatujących październicy białych i powietrze stawało się słuchliwsze, głosy darły się ostro przez gęstwę, rażno, hukliwie. Wieś jakby się przebudziła, ruch powstał, kto niekto wyjeżdżał saniami, ale zawracał rychło, bo drogi były nie do przebycia; gdzieniegdzie przekopywali ścieżki między chałupami, odwalali śniegi sprzed drzwi, wywierali na ścieżaj obory, radość przejmowała wszystkich, a już dzieci to szalały z uciechy, psy naszczekiwały wszędzie, polizywały śniegi i ganiały wspólnie z chłopakami. Zaroiło się na drogach, wrzaski się podniosły w opłotkach, krzyczeli a bili się śniegułkami, a tarzali w miękkim, puszystym śniegu, a bałwany okrutne czynili, a saneczkami się ciągal, że te ich piski ucieszne i przegony zapełniły wieś całą, aż Rocho zaprzestał nauczania w ten dzień, bo nie mógł nikogój utrzymać przy lementarzu.

Coś trzeciego dnia, o samym zmierzchu, śnieg przestał padać, prószło jeszcze niekiedy, ale tak jakby kto worek z mąki wytrzepywał nad światem, że i znać nie było, ale niebo spochmurniało, wrony tłukły się koło domów i przysiadaly na

drogach, a noc się zaciągnęła bezgwiezdna, ołowiana, tymi śniegami omroczo-
nymi rozbielona, a taka cicha, zakrzepła i martwa, jakby już całkiem z wszelkiej
mocy wyzuta.

Chłopi — fragmenty, s. 238-241.

[...]

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł jako ten parob,
któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna zrywać się ano musi nade
dnem, by wnetki imać się pługą i do orki się brać.

Poczytało dzień.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew
pośpionych w macie nieprzejrzany.

Niebo, kiej ta płachta modrawa przejęta wilgotnością i orosiła, przecierało się
już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łągi i pola nizinne. Kokoty
zaczęły pisać na wypródki gdzieś po wsiach jeszcze niewidnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie roztlewające spod ostyglych popiołów, jęły się
rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały z nagłą, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów
wiosennych, biły w czarne pola albo zasie, kieby dymy kadzielne, wionęły sinym
przędziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem
grubym, przemoczonym kozuchem.

Niebo się rozlewało z wolna światłościami, zniżając się coraz barzej nad świa-
tem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnię czuby drzew, oprzędzone mgłami,
a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąknięte rosą, wyleniały się z nocy;
to stawy zamigotały pośleplymi lustrami albo strumienia kiej długachne, orosiła
przędze wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na
niebie poczytały gorzeć jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze nie dojranych, i tak
się galanto rozwidniało, iż ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka
droga, obsiadła rzędami topoli pochyłonych, utrudzonych jakoby w ciężkim cho-
dzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione
w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzieś pod zorze, kieby te czarne
kamienie spod wody spienionej, i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się
całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wylupie się z tych zórz rozgo-
rzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami

zasnute oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał z wolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytała — jeno wiat, jako to dychanie dzieciątka, cichuśki powiał od lasów, aż rosy potrząsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostię Przenajświętszą — wystrzelił z nagła głos skowronkowy...

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie, a poranek głośić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się zza lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennymi ziemcami i żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczyślała świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby z nagła padło w proch przed majestatem i zamilkło przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły kiej wonne dymy z trybularzów były z łąk ku rozłożonemu niebu, a ptaćtwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczyniń.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej, i wielkie, gorejące, ciepłe kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

[...]

Słońce się już było podniosło na parę chłopów, że dojrzał choćby i najdalsze kraje pól; wszystko błyszczało różaną rosą, czarne role połyskiwały się w słońcu, wody grały po rowach, skowronkowe głosy dzwoniły w chłodnym powietrzu, gdzie zaś pod kamionkami tliły się ostatnie płatki śniegów, żółte bazie na poniektórych drzewach trzęsły się kieby te bursztynowe paciorki, w zaciszach zaś albo i pod nagrzanymi kałużami spośród rdzawych, zeszlórocznych liści przedzierały się złotawe ździebła traw młodych, gdzie znów patrzyły żółte oczy kaczeńców, wiaterek też wziął przygarniać leciuchno i roztrząsał wilgotne, rzeźwe zapachy pól, pławiących się leniwie w słońcu, a wszędy było tak wiośniano, rozległe, jasno, chociaż i jeszcze ździebko szarawo, i taką lubością tchnęło, że już się dusza Agaty wrywała, by lecieć, jako ten ptak radością opity niesie się z krzykiem w cały świat.

[...]

Że zaś dzień był już duży i mgły całkiem spadły, Lipce jawiły się przed nią jakby na dłoni, leżały nieco w dole nad ogromnym stawem, modrzącym się kiej lustro spod białawej a leciuchnej przysłony, obsiadły wodę kręgiem niskich, szerokich chałup, co jak kumy w sobie wielce podufałe, przysiadły w sadach jeszcze nagich, dymy kajś niekaj rwały się nad strzechami, gdzie zaś szyby przeblyskiwały w słońcu albo bieleły wskroś czarniawych sadów świeżo pobielone ściany.

Każdą chałupę mogła już dojrzeć z osobna. Młyn ano, którego bełkotiwy turkot dochodził coraz żywiej, stał na kraju wsi przy drodze, którą szła, a naprzeciw prawie, na drugim końcu kościół wznosił wysokie, białe mury wśród drzew olbrzymich i grał oknami i złotym krzyżem na bani, a w podlego czerwieniły się dachówki plebanii. Wokół zaś, jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrane, leżały wsie dalekie, wsie kieby te szare liszki przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi kręto powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy, z rzadka porośłe jałowcami, i wąska przędza rzeczki, ciekącej połyskliwie i wlewającej się do stawu, między chałupami.

Bliżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały lipeckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótka, rozciągnięte pod wzgórze i poćwiartowane na działki. Pola wiły się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętymi miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste, górzyły się kamionki cieraniem obrosłe, w złotawym świetle ostro wyrzynały się szare i utyłane kiej ścierki ugory; to płachty zielonawe ozimin, to zeszlenczone kartofliska czerniały abo i już latosie podorówki, miejscami zaś po dołkach siwiały wody i wlekły się kiej to szkliwo roztopione; za młynem rozlewały się łąki rudawe, po których brodziły bociany raz wraz poklekujące, i kapuśniska tak jeszcze pod wodą, że jeno grzbiety zagonów prze-miękłych łyśniły się kiej piskorze, czajki białobrzusze kołowały nad nimi, a po rozstajach stróżowały święte drzewa krzyżowe i jensze wyobrażenia Pańskie, zaś nad tym całym światem, zakląłym ździebko w miejscu, kędy wieś przywarła, wisiało rozgorzałe, złotawe słońce, pobrmiewały skowronkowe śpiewania, rozlegały się niekiedy od obór tęskliwe ryki bydła, to gęsi gdziesik pokrzykiwały gęgliwie i leciały rozgłośnie wołania ludzkie, a wraz i wiaterek tchnął lubym, ciepłym powiewem zgar-niając wszystkie te głosy, że ziemia stawała niekiedy w takiej cichości a zadumaniu, jakoby w tej świętej chwili rodów i poczyną.

Wiosna

Czas był wiosenny o świtanu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł jako ten parob, którego legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się pługą i do orki się brać.

Poczytało dzień.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew pośpionych w macie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa przejęta wilgotnością i orosiała, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łągi i pola nizinne. Kokoty zaczęły pisać na wypródki gdziesik po wsiach jeszcze niewidnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie roztlewające spod ostyglych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały z nagłą, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola albo zasie, kieby dymy kadzielne, wionęły sinym przędziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało z wolna światłościami, zniżając się coraz bardziej nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnień czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniały się z nocy; to stawy zamigotały posępłymi lustrami albo strumienia kiej długachne, orosiałe przędzie wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze nie dojrzanych, i tak się galanto rozwidniało, iż ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dzwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzieniegdzie pod zorze, kieby te czarne kamienie spod wody spienionej, i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wyłupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał z wolna, ale jeszczeh się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła bardziej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytąiła — jeno wiać, jako to dychanie dzieciątka, cichuśki powiał od lasów, aż rosy potrząsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostię Przenajświętszą — wystrzelił z nagłą głos skowronkowy...

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie, a poranek głośić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdzieś po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się zza lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennymi ziemcami i żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby z nagła padło w proch przed majestatem i zamilkło przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły kiej wonne dymy z trybularzów były z łąk ku rozzłoconemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej, i wielkie, gorejące, ciepłe kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

Lato

Dzień był bardzo cudny, prawdziwie letowy.

Może szła dziesiąta rano, bo już słońce wisiało w pół drogi między wschodem a południem i wynosiło się coraz bardziej palące, kiej lipeckie dzwony, ile ich jeno było, zadzwoniły rozgłośnie i ze wszystkiej mocy.

A ten, co go to przezywali Pietrem, huczał najgłośniej i śpiewał całym gardziellem, jak kiedy to chłop ździebko napity drogą idzie, kolebie się ze strony na stronę i zawodzący całemu światu radoście swoje grubachnym głosem powiada...

Zaś drugi, nieco pomniejszy, o którym Jambroż rozpowiadał, że go ochrzcili na Pawła, wydierał się też nie ciszej, a jeno żarliwiej wtórował, wysoką nutę brał, przeciągał górnio, a czystym głosem zawodził i kieby się zapamiętał, tak dzwonił, jakoby ta dziewczka poniektóra, kiej ją rozeprze kochanie lebo ten dzień zwiesnowy, że w pola leci, skroś zbóż się przebiera i śpiewa ze wszystkiego serca wiatrom, polom, niebu jasnemu i swojej duszy weselnej.

A na trzeciego — sygnaturka jako ten ptaszek swiergoliła, na darmo chcąc tamte prześpiewać, nie mogła jednak, chocia jazgotała siekającym, prędkim głosem, kieby te dziecińskie sprzeciwy. Że już dzwoniły czyniąc galantą kapelę, bo to i bas pobękiwał, i zawodziły skrzypice, i ten bębenek z brzękadłami drygał wesoło, i rznęły wraz od ucha, uroczyście a rozgłośnie.

Na odpust ci one tak radośnie zwoływały, boć to był dzień świętego Piotra i Pawła, zawdy w Lipcach uroczyście obchodzony.

A czas się też był zrobił wybrany, cichy i wielce słoneczny, na galantą spiekę się miało, ale mimo to już od samego świtania na placu przed kościołem handlarze zaczęli stawiać budy przeróżne, a kramy, a stoły, płóciennymi dachami nakryte.

Zaś skoro dzwony zabimbały, skoro ich głos radosny rozlał się po świecie, to i pokrótce na wyschniętych drogach i w tumanach kurzawy jęły coraz częściej turkotać wozy, a i piesi też gęsto ciągnęli, że jak jeno było sięgnąć okiem, na wszystkie strony, po drogach, ścieżkami, na miedzach, czerwieniły się kobiece przyodziewy i białeły rozwiane kapoty.

Ciągnęli rzędami, podobnie kiej te gęsi, mieniać się jeno w upale i wśród zbóż zielonych.

Słońce niesło się wyżej a wyżej i płynęło kiej ptak złocisty po modrym, czystym niebie, jarząc się coraz barzej i nagrzewając tak szczodrze, że już powietrze trzęsło się nad polami; jeszcze ta niekiej od łąk chłód luby powiał i zakolebał bielejącymi żytami, jeszcze i owsy zachrzęściły cichutko i potrząsły się młode pszeniczne kłosy, zaś rozkwitłe lny spłynęły rozniebieszczoną strugą kiej wody, ale już z wolna grążyło się wszystko w słonecznym wrzątku i cichości.

Hej, radosny ci to był dzień i prawdziwie odpustowy. Dzwony bimbały długo i te głosy jęklive leciały we świat tak rozgłośnie, aż chwiała się źdźbła, aż płoszyły się ptaki, ale spiżowe serca były wciąż, były miarowo, mocno i górnio, wynosząc się ku słońcu tą przejmującą pieśnią i wołaniem:

— Zmiłuj się! Zmiłuj! Zmiłuj!

— Matko Przenajświętsza! Matko! Matko!

— I ja proszę! I ja! I ja! I ja!

Śpiewały serdecznie, obwołując zarazem uroczyste święto.

Jakoż i czuło się w powietrzu święty dzień odpustowy; święto było po chatach, przystrojonych zielenią, w dalach przebłyskujących kieby zapalonymi świecami, w radosnych głosach i w tym cosik, czego nie wypowiedzieć, a co się unosiło nad polami rozpierając serca lubą cichością i weselem.

A naród śpieszył tłumnie na owe święto i walił ze wszystkich stron. Kłęby kurzawy toczyły się nieustannie nad wszystkimi drogami, turkotały wozy, rżały konie, leciały głosy przeróżne, wiązały się głośnie rozmowy, czasem ktosik wychylał się z półkoszków i krzykał do pieszych, gdzie znowu śpieszył zapóźniony dziad jęklive przyśpiewując, a po wozach niektórych szeptało pacierze, pozierając dokoła z niemym podziwem, gdyż ziemia stojała przystrojona kieby na te gody weselne, cała we kwiatkach i zieleni i cała w ptasich śpiewaniach, w chrzęstach zbóż i brzęku pszczoł, a taka cudna, nieobjęta, weselna i przenajświętsza w onej mocy żywiącej, jaże piersi zapierało.

Drzewa po miedzach stojały kieby na stróży, zapatrzone w słońce, a dołem jak okiem sięgnąć leżały pola zielone, szumiące jak wody wzburzone, i jak wody prze-walały się niekiedy ze strony na stronę, bijąc o wszystkie drogi, miedze i rowy, co migotały kiej te wstęgi kwietne szczodrze przeplecione puszystą bielą, żółtością

i fioletem; kwitnęły już bowiem owe ostróżki przeróżne, kwitnęły powoje patrzące z żytnich gąszczów przytajonymi, pachnącymi oczami, kwitnęły modraki, miejscami, kaj ździebko wymiękło, tak gęsto, jakby tam niebo się kładło, kwitnęły wyczki całymi kępami, a one jaskry, a mlecze i krwawe osty, a ognichy i koniczyny, a stokrotki, a rumianki dzikie, a tysiąc inszych, o których jeno sam Jezus pamięta, boć jemu tylko kwitną i tak pachną, że prosto czad bił od pól kieby w kościele, gdy jegomość okadza Sakramenta.

[W. Reymont, *Chłopi*, oprac. F. Ziejka, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1991, t. 1: s. 8-9, 289-290, 293-295, t. 2: s. 5-7, 400-402]